

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 40 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 20 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Przykład do naśladowania.

Bardzo ciekawe i pouczające dla nas szczegóły komunikuje korespondent paryski „Nowego Kurjera Polskiego” o ruchu autonomistycznym w Alzacji i Lotaryngji.

Jak się okazuje, agitacja za autonomją Alzacji i Lotaryngji w ramach republiki francuskiej tliła się w odzyskanych prowincjach już oddawna. Zaczęła się niemal że nazajutrz po zwycięstwie.

Ale wówczas prowadzili ją tylko germanofile. Nie zyskiwali posłuchu i musieli zresztą szybko kraj opuścić. Usadowili się we Freiburgu badeńskim i tam zrzucili maskę: pp. Rapp, Mutt i Ley nie mówią już o autonomji, lecz o neutralności Alzacji, t. zn. o stworzeniu z niej samodzielnego państewka neutralnego. Agitacja ta trwa do dziś dnia, ale w Alzacji tylko komuniści głoszą jawnie hasło neutralności.

Neutraliści są separatystami. Otóż separatyzm polityczny echa poważnego w społeczeństwie alzackim nie znajduje. Co innego z hasłami autonomji. Alzaccyzy zawsze byli partykularystami. Z radością witali wstępujące do ich kraju wojska francuskie, z radością tak powszechną i żywiołową, że słusznie nazwano te manifestacje plebiscytem na rzecz Francji. Ale wówczas nikt nie myślał o ewentualnym konflikcie psychologicznym i konstytucyjnym pomiędzy alzackim partykularyzmem, a paryskim centralizmem.

Jeszcze w roku 1922 społeczeństwo alzackie nie dawało posłuchu hasłom autonomicznym. Czekało na realizację przyrzeczeń, jakie poczynił jeszcze marszałek Joffre, kiedy w sierpniu 1914 wkroczył do Alzacji. W roku 1922 p. Klaus Zorn de Buch próbował założyć „partję alzacką” z programem autonomicznym i to mu się nie udało. Dopiero w początkach roku 1925 zaszedł w tej dziedzinie fakt znamieny: w Saverne zaczął wychodzić tygod-

nik „Zukunft”, który wywiesił jawnie hasło autonomji. Dziś ma już 30.000 abonentów.

Zaś 6 czerwca r. b. powstał w Strasburgu „Elsass Lotharingischer Heimatbund”, który ogłosił nazajutrz manifest autonomistyczny. Wydrukowały go przedewszystkiem cztery dzienniki katolickie, a mianowicie „Lothringer Volkszeitung” (Metz), „Elsässer” (Strasburg), „Elsässer Kurier” (Colmar) i „Mülhauser Tageblatt” (Miluza). Manifest podpisało 100 osobistości, między którymi figurują: Dr. Ricklin, lekarz z Dannemarie, b. prezes „Landtagu” alzackiego; trzech radców generalnych (pp. Gromer, Herber i Schaaf), 15 proboszczów katolickich, prawie tyle pastorów protestanckich, dalej po kilku rejentów, adwokatów, urzędników samorządowych, dziennikarzy i t. d.

Manifest postawił tezę, że Alzaccyzy i Lotaryńczycy są „mniejszością narodową” w łonie Francji. Domaga się dla tej mniejszości autonomji prawodawczej i administracyjnej, t. zn. własnego rządu krajowego, własnego sejmku, własnego budżetu i własnego szkolnictwa z niemieckim językiem wykładowym na wszystkich szczeblach.

Czyn autonomistów wywołał w dwu prowincjach ogromne poruszenie. Zdecydowanie wystąpili przeciwko hasłu autonomji tylko socjaliści, którzy jednak na 24 posłów alzacko-lotaryńskich w parlamencie francuskim mają tylko dwa mandaty (pp. Peirot, mer Strasburga, oraz Georg Weill). Katolicy, najsilniejsze w Alzacji stronnictwo, zachowują się pozornie neutralnie, a istotnie z ruchem sympatyzują. Jedynie „Le Lorrain”, organ katolicki ks. K. Ritza, wychodzący w Metz, zwalcza autonomizm. Radykałowie są podzieleni: ci ze Strasburga (p. Oesinger) są przeciw autonomji; ci z Miluzy i Colmaru (pp. Ukhreng i Georg Wolf) — za. Demokraci-republikanie, mający związki ze światem gospodarczym, są przeciwko autonomji („Neue Zeitung” w Strasburgu i „France de l'Est” w Miluzie).

Opinia francuska była manifestem zaskoczona. Francja jest krajem najbardziej narodowo jednolitym. Od czasu powstania Wandejczyków w obronie króla i Kościoła katolickiego przeciwko Rewolucji — nie było we Francji żadnego ruchu odśrodkowego. Bretończycy, Baskowie i Prowansalczyki mówią wprawdzie innym językiem; każda prowincja ma wprawdzie swoje lokalne narzecze ludowe; w Roussillon, na pograniczu hiszpańskiej Katalonji, mówi się po katalońsku — ale nie znała Francja dotychczas żadnych ruchów politycznych, słabo choćby przypominających rewindykacje narodowościowe.

Nie należy się więc dziwić oburzeniu i protestom, jakie manifest autonomistów w prasie paryskiej spowodował. Odpowiada to zupełnie uczuciom przeciwnego Franc za, który uważa, że Alzacczyki, których Francja wyzwoliła z pod niemieckiego ucisku, są doprawdy bardzo niewdzięczni. Udzielanie nagany nie rozwiąże przecież poważnego i realnego problemu politycznego, jakim jest ruch autonomistyczny, dziś już silne mający w Alzacji korzenie. Nie wystarczy również represje, albowiem jeśli nie wszyscy Alzacczyki domagają się autonomji prawodawczej, to prawie wszyscy są zwolennikami autonomji administracyjnej

Ileż tu jest podobieństw i analogij do naszych stosunków i naszej sytuacji!

I tu i tam kraj mieszany pod względem narodowościowym, mający własną wybitną indywidualność; i tu tam *wyzwolenie*; i tu i tam piękne obietnice, a w rezultacie bezwzględnie centralistyczna polityka, dotkliwie dająca się we znaki miejscowej ludności; i tu i tam na razie nieopisany zapał, a potem rosnące coraz bardziej niezadowolenie!

Ale gdy tam, dzięki wysokiemu poziomowi uświadomienia politycznego, ludność mocno reaguje

na swe upośledzenie i domaga się takiego ustroju, któryby gwarantował jej możliwość samodzielnego rozwoju i uwzględniał odrębne warunki historyczne, ekonomiczne i kulturalne, — u nas, wskutek powszechnej ciemnoty, hasła autonomiczne znajdują oddźwięk i zrozumienie w umysłach nielicznych jednostek wybranych, zdających sobie dokładnie sprawę z niedomagań i bolączek naszego życia. Ogół zachowuje się biernie, narzeka, szemrze, ale nie umie się zdobyć na żadną energiczną akcję i oczekuje wciąż dobrodziejstw Warszawy...

Alzacja i Lotaryngja dają nam piękny przykład patriotyzmu krajowego.

Po nominacji Arcybiskupa.

Artykuł poniższy, pochodzący z kół duchowieństwa miejscowego, zamieszczamy na odpowiedzialność autora, nie mając wyrobionego zdania własnego o osi bie nowego arcybiskupa metropolity wileńskiego. Nie przywiązujemy takiej wagi, co autor do zmiany lokalu „Dziennika Wileńskiego”. Nie sądzimy, aby wpływy endeckie wśród kleru wileńskiego osłabły, jeżeli redakcja tego organu przeniesie się na inną ulicę.

Sprawa nominacji J. E. biskupa łomżyńskiego Romualda Jałbrzykowskiego arcybiskupem metropolity wileńskiego ma już swą historję. Nazwisko nominata zaczęto wymieniać po raz pierwszy w ostatnich latach rządów b-pa Matulewicza, co też nie miało wpływu na powstanie opinji, że kandydat jest endkiem. Po rezygnacji b-pa Matulewicza, jak w swoim czasie zaznaczyliśmy, ta kandydatura miała ogromne szanse i omal że nie została zaakceptowaną. Upadła jednak wtedy dosłownie w ostatniej chwili, lecz na krótko, bo zgon ś. p. arcybiskupa Ciepłaka uczynił ją znowu aktualną. Rychło atoli zawisło nad nią osobliwe fatum: wypadki majowe i spowodowane przez

Żałobna rocznica.

D. 3 lipca, jako w rocznicę zgonu ś. p. Tadeusza Wróblewskiego odbyło się zrana w kościele św. Ducha nabożeństwo żałobne, które zgromadziło szczerą garstkę krewnych, przyjaciół i znajomych zmarłego.

Tegoż dnia wieczorem w lokalu Biblioteki im. Wróblewskich, w dawnym mieszkaniu jej założyciela, które dotąd zachowało ten sam wygląd, jaki miało za jego życia, z inicjatywy grona osób pragnących uczcić pamięć wybitnego działacza krajowego odbyła się Akademia, na którą stawilo się blisko sto osób.

Komitet Organizacyjny, złożony z p.p. Ludwika i Witolda Abramowiczów, F. Jeremicza, J. Landego, D. Olsejki, Witolda Sławińskiego, ks. A. Stankiewicza, M. Świechowskiego, K. Weleckiego i ks. A. Wiskonta, pragnął nadać uroczystości charakter wybitnie krajowy, zgodny z ideologją zmarłego, dlatego też rozesłał zaproszenia zredagowane w trzech językach: polskim, litewskim i białoruskim oraz ułożył program przemówień uwzględniając te trzy języki.

Na zaproszenie Komitetu przybył specjalnie na

ten wieczór z Warszawy p. Aleksander Lednicki, kolega i przyjaciel ś. p. Wróblewskiego, który wygłosił długą i piękną pod względem formy mowę, analizując działalność zmarłego i podnosząc w niej te strony, które zjednoczyły w hołdzie pośmiertnym przedstawicieli wszystkich narodowości, kraj nasz zamieszkujących. Żałujemy niezmiernie, że nie posiadamy tekstu dosłownego tego arcydzieła krasomówstwa i nie możemy zapoznać z niem tych naszych czytelników, którzy byli nieobecni na zebraniu.

Z kolei redaktor naszego pisma w krótkim i zwięzłym referacie scharakteryzował poglądy polityczne i ideologję krajową zmarłego. Przemówienie to podajemy poniżej.

Następnie przemawiał dr. D. Olsejko częściowo po litewsku, częściowo po polsku oraz ks. A. Stankiewicz po białorusku, podkreślając zasługi ś. p. Wróblewskiego jako obrońcy w licznych procesach prasowych i politycznych, wytaczanych patriotom litewskim i białoruskim i upatrując w zmarłym wzór prawego obywatela kraju, który z rzadką odwagą cywilną potrafił się przeciwstawić powszechnemu roznamiętnieniu nacjonalistycznemu.

Obecny w liczbie zaproszonych gości dr. C.

nie zmiana rządu, zachwiały pewnością, czy wobec zmiany kursu, dojdzie ona do skutku. Jak widzimy dziś, doszła, i oby ku zobopólnemu dóbru Kościoła i narodowości, zamieszkałych na terenie tak archidiecezji wileńskiej, jak naogół prowincji kościelnej, dla której Wilno będzie odtąd ośrodkiem.

O osobie wysokiego elekta nie tak dawno zambieraliśmy już głos w „Przeglądzie wileńskim”. To nas zwalnia od zajmowania się tu znowu kolejami jego żywota. Za bardziej właściwe uważamy dziś przypomnieć na tem miejscu to, co pisał o obecnym arcybiskupie że słów kapłana, dobrze świadomego stosunków kościelnych w Łomży, „Kurjer Wileński”. Ruchliwy ten dziennik zamieścił w kwietniu r. b. notatkę, której treść w chwili obecnej szczególnie zyskała na aktualności. Podkreśla ona najwyraźniej, że 1-o mowy być nie może o jakiejś przynależności do tychczasowego biskupa łomżyńskiego do endecji lub jakiejś innej partji, 2-o gotów jest on pracować z każdym człowiekiem dobrej woli i szlachetnej idei, *bez względu na narodowość lub partję*, 3-o nie jest antysemitą i 4-o jest szczerym *demokratą*, w najlepszym tego słowa znaczeniu. To piękne oświadczenie istotnie może uspokoić każdego obywatela naszego kraju i niezawodnie na wstępie wywoła odruch zaufania, do osoby mającego chyba niezadługo do Wilna przybyć arcybiskupa. Jest to cenny kapitał i w oczywistym interesie obu stron jest ciągły jego wzrost.

Nie wątpimy ani przez chwilę, że nowy metropolita wileński będzie dobrym a sprawiedliwym arcy-pasterzem dla swych archidiecezjan narodowości polskiej. Nie żdziwi nas bynajmniej i to, że jako rodowitemu Polakowi, miłującemu swój naród, będą mu oni bliżsi niż Litwini, Białorusini, Rosjanie obrządku słowiańsko-katolickiego i inni nie Polacy. To jest naturalne i oczywiste. Niema nawet potrzeby o tem się rozwodzić. Natomiast chcemy tu, z punktu widzenia myśli krajowej, podkreślić, że nowomianowany arcybiskup, jak sądzimy, posiada też wszystkie bodaj dane, by stać się dobrym a sprawiedliwym pasterzem i dla narodowości, które są dziś w tem lub owem stadium procesu odrodzieńczego. Arcyepa-

sterz wileński dobrze zna Litwę i Białoruś z pobytu w nich i świadkiem był, jak obydwaj ruchy powstały i z małych strumyków urosły w rzeki. Doskonale włada on językiem litewskim i rozumie mowę białoruską. Serdeczna zażyłość łączy go z kilku księżmi Litwinami i ścisła współpraca z paru księżmi Białorusinami. Tak przedtem w Sejnach, jak dziś w Łomży. Spędzając przymusowo czas wojny wszechświatowej na Białorusi, ówczesny regens sejneński urządził pod Mińskim Białoruskim lotnisko dla kleryków, gdzie pod jego opieką ojcowską znaleźli się, obok Polaków, Litwini, Białorusini i Łotysze.

Endecja, piastująca na swem łonie nacjonalizm polski, oczywiście zechce widzieć też w nowym metropolicie wileńskim męża według myśli i serca mego. *Habeat sibi*. Oby naszemu arcybiskupowi na tak trudnej, jak Wilno, placówce kościelnej udało się, bez krzywdy dla Litwinów i Białorusinów, zadowolić i endecję, jeśli to być może... Nasza endecja uczyniłaby mądry a piękny gest, ogromnie ułatwiający stanowisko arcybiskupa, jako stróża karności kościelnej wśród kleru i ludu, jeśliby sama zdecydowała się wreszcie przenieść redakcję swego lejb-organu „Dziennika Wileńskiego” z plebanji dominikańskiej poza obręb murów kościelnych do miasta, gdzieby mógł on z niemniejszym chyba pożytkiem pracować dalej na rzecz swych haseł. Właśnie świeżo z dezyderatem powyższym wystąpił w liście do mnie pewien czcigodny ksiądz prałat, Polonus Kresowy całą gębą, chlubnie zasłużony dla Kościoła, któremu nie przestaje służyć z młodzieńczym zapałem do dziś dnia swem mądrym słowem i wytrawnym piórem. Mój korespondent ma zupełną rację. Bez tej bowiem ofiary, wszelkie domaganie się jakiejś nadzwyczajnej karności, stawiane tylko Litwinom i Białorusinom, będzie grzeszyło jednostronnością i, co gorsza, zakrawało na czczą deklamację.

P. K.

Szabad zabrał głos, wyrażając ubolewanie, że Komitet Organizacyjny nie zaprosił do współdziałania przedstawicieli społeczeństwa żydowskiego, które na równi z innymi czci także pamięć zmarłego, jako działacza, wyższego ponad uprzedzenia rasowe i narodowościowe, wiernego zawsze zasadom sprawiedliwości, równości i tolerancji.

Wreszcie p. Witold Abramowicz nawiązując do osoby ś. p. Tadeusza Wróblewskiego i jego szerokiego światopoglądu nawoływał zebranych, by szli wskazaną przezeń drogą i zaniechawszy własni narodowościowych wspólnie pracowali dla dobra kraju.

Towarzyska pogawędka przy czarnej kawie, podczas której dr. Olsejko podzielił się ze słuchaczami swymi wrażeniami z pobytu w Kownie, zakończyła wieczór, który pozostawił w duszy wielu uczestników niezatarte wrażenie.

Po raz pierwszy bodaj od czasu wojny zeszli się w Wilnie pod jednym dachem w tak pokażnej liczbie Polacy, Litwini i Białorusini, aby mówić nie o tem, co ich dzieli, ale o tem, co ich łączy. Mieśliśmy rację, utrzymując rok temu, wbrew twierdzeniu „Kurjera Wileńskiego”, że pogrzeb ś. p. Wró-

blewskiego, który zgromadził przedstawicieli wszystkich narodowości, był nie *ostatnim* lecz *pierwszym* objawem łączności i pewnego zbliżenia obywatelskiego na naszym, tak niewdzięcznym dla podobnej akcji gruncie. Życie i czyny ś. p. Wróblewskiego nie przejdą bez śladu, pamięć o nich będzie jednoczyła coraz mocniej tych wszystkich, których rozdzieliły nie zasadnicze przeciwieństwa dążeń i interesów, lecz wybujałe namiętności, okoliczności i nieporozumienia.

W pewnych kołach litewskich i polskich zebranie w d. 3 lipca spotkało się z oceną krytyczną ze względu na poruszone w przemówieniach momenty polityczne. Dopatrzone się w niem rzekomej manifestacji, mającej świadczyć o dokonaniem pojednaniu polsko-litewsko-białoruskiem i nawet o jakiejś wspólnej akcji politycznej.

Oczywiście do tego jeszcze daleko. Rozbieżności w dążeniach i celach poszczególnych tych narodowości są zbyt głębokie, by mogło je wyrównać jedno przygodne zebranie. Wykazało ono wszakże, że pomimo różnic w kierunkach politycznych, są punkty styczne, które pozwalają przedstawicielom

Z nastrojów wsi białoruskiej.

Ostatnimi czasy miałem sposobność rozmawiać z kilku osobami, przybyłymi z prowincji, a stojącymi bardzo blisko do ludu. Rozmówcy moi byli: jedni zamieszkali i pracujący na północ od Wilna, drudzy na południe odeń. Sądzę jednak, że nie inaczej się u nas dzieje i na zachód i wschód od Wilna.

Wobec zapewnień parokrotnych naszej prasy monarchistycznej, że chłop tutejszy pragnie już króla i jakoby twierdzi, że *bez karala niczaho nia budzie*, zadałem w tym przedmiocie parę pytań gościom z prowincji. Wyrazili zdziwienie. Bo naogół wielkie pytanie, czy kiedykolwiek włościanin tutejszy był monarchistą? Król elekcyjny w dawnej Polsce, odarty ze wszelkiej władzy, a reprezentowany przed rozbiorem państwa przez szereg typów wybitnie rokokowych, najmniej mógł, wobec braku dynastji, wpłynąć na ugruntowanie się tradycji monarchistycznych w ludzie. Nie nazwie przecież pewnie nikt tradycją przysławia białoruskiego z reminiscencją, że

*Za karala Sasa, dawoło było chleba i miasa
Pryszou Paniatouski — chleb nia takouski*

Były to tylko zdjęcia migawkowe, jakie poczyniła obserwacja ludu. Zdjęcia doraźne, dość płytkie.

Nie da się zaprzeczyć natomiast, że carat wszechrosyjski więcej zaimponował chłopu, a to bądź olbrzymim terenem, na którym władał, bądź zwycięską siłą oręża, bądź wreszcie zniesieniem poddaństwa. Lecz i z tego kapitału do dziś dnia nic już chyba nie pozostało.

Białoruski chłop był świadkiem, jak padały trony cesarzy, królów i królików. Widział to w Rosji, jako żołnierz lub rezerwista, obserwował to w Niemczech i Austro-Węgrzech, jako *Kriegsgefangene*. Że tu i ówdzie w r. 1918 jakiś tron drugo — lub trzeciorzędnego królestwa rozbił się na chwilę nowym blaskiem, powstałym z doraźnego sukcesu nieśmiertelnych instynktów zaborczych, nic postaci rzeczy nie zmienia.

Monarchiści, obiecując sobie coś dla monarchizmu po chłopie tutejszym, grubo mylą się w swych

zgoła odmiennych orientacyj na wspólne obcowanie w podniosłej atmosferze ogólnoludzkich ideałów i umiłowania ojczystej ziemi.

Duch ś. p. Tadeusza Wróblewskiego błogosławił temu zapoczątkowaniu.

Przemówienie red. L. Abramowicza.

W licznych nekrologach i wspomnieniach pośmiertnych, jakie się ukazały po zgonie ś. p. Tadeusza Wróblewskiego podkreślano zasługi zmarłego, jako znakomitego mówcy, prawnika i założyciela biblioteki. Działalność jego społeczną zbywano przeważnie kilku ogólnikami, a raczej niedomówieniami, tak, jakby się czegoś żenowano. Tymczasem jest ona ściśle związana z całokształtem jego życia.

Bo ś. p. Wróblewski nie należał do rzędu adwokatów, traktujących swój zawód jedynie pod kątem zarobkowym, lecz łączył część swych zdolności i umiejętności, jako obrońcy sądowego poświęcał w interesie licznych następów bojowników o wolność, o ideały społeczne, polityczne lub religijne, których przemoc sadzała za kratę i na ławę oskarżonych.

rachubach. Białorusin spytany, czy chciałby króla w państwie, najczęściej odpowie: *na sztoż jon nam?! Zgodziłby się jednak niezawodnie nie tylko na króla, lecz nawet na... diabła, jeśliby tą drogą miał pewną nadzieję na otrzymanie — ziemieli, tej słodkiej tęsknoty i umiłowania duszy chłopskiej. Gdy o niej mówi, emocjonuje się: błyszczą mu oczy, ożywiają się policzki, mocniej bije serce i głębszy wydobywa się oddech. Ale czy to monarchizm?! Nawet kult siły, któremu białoruski chłop, wskutek swej pierwotności niewątpliwie hołduje, daleki jest jeszcze bardzo od monarchizmu „Słowa”. Zresztą nasz chłop niechętnie się wdaje w rozmowę na ten temat: swym zwyczajem chcąc wiedzieć, kto i z jakim zamiarem go pyta, zaczyna odrazu od swego: *a ty chto panok?**

Wyostrzona dziś swoiście inteligencja chłopu, daje mu pewność (w 99% wypadków wcale słuszną), że nikt dziś na wsi hasel politycznych głosić nie będzie, nie widząc w nich korzyści dla samego siebie.

Jeśliby nawet chłop wierzył w idealizm swego rozmówcy, decydującem dlań będzie, że jego własne ideały nie pokrywają się bez reszty z dążeniami tych lub innych ugrupowań miejskich lub pseudo-ludowych wiejskich.

Jak dotychczas, reforma rolna włościaninowi miejscowemu *nic* nie dała, budząc w nim tylko rozgoryczenie, które do głębi wstrząsnęło duszą chłopu. Jest wprawdzie dlań okazja zdobycia kawałka ziemi, ale *beati possidentes* na odprzedaż wyznaczali to, co im zbywało i ciążyło na ich gospodarce — nieużytki. Takie niby zaspakajanie głodu ziemi ma wszystkie cechy szyderstwa, bolesnego, a niebezpiecznego w skutkach.

Nie przestaje, oczywiście, być na wsi palącą sprawa podatków. Mój rozmówca był świadkiem, jak włościanin białoruski zabijał okna w swej chatce, sądząc że uniknie tak płacenia, za większą ich ilość, większych podatków. Jakież spotkał go zawód! Musiał płacić i za... zabite. Ale nie brak też wręcz komicznych wypadków. *Audita refero*. Np. przemyślny fiskus ciągnie też zysk z kar, pobieranych przez policję za niedomkniętych wiejskich psów i nawet kotów, co wobec silnego u tych zwierząt instynktu płciowe-

Gromadząc z wielkim nakładem środków swój wspaniały księgozbiór również nie powodował się zamiłowaniem do kolekcjonerstwa, jakiemś wyrafinowanym smakoszoństwem bibliofilskim, lecz miał tu jako główny cel — udostępnienie szerokim kołom miejscowego społeczeństwa bez różnicy narodowości korzystania z pomocy naukowej, ze skarbów wiedzy, a więc znów cel wybitnie społeczny.

Chociaż rzadko mógł dojść do ładu z własnym społeczeństwem, był jednostką głęboko uspołecznioną i zawsze żywo się interesował sprawami publicznymi.

Politykiem w ścisłym tego słowa znaczeniu ś. p. Wróblewski nie był; nie należał do żadnego stronnictwa, nie występował jako publicysta, nie piastował żadnego mandatu.

Sam siebie chętnie nazywał statystą, a więc człowiekiem refleksji i myśli w przeciwieństwie do działacza czynnego, wprawiającego w ruch siły ukryte w społeczeństwie, wyobraziciela dynamiki.

Nie znaczy to jednak, że był tylko biernym obserwatorem, przyglądającym się przez okno swego gabinetu zachodzącym przemianom i wypadkom. Przeciwnie niejednokrotnie występował na arenie

go, musi stwarzać w pewnych okresach przeróżne komiczne komplikacje.

Wciąż jeszcze można po dworach i dworkach spotkać ludzi, żyjących tak, jakby istniała u nas pańszczyzna lub jakaś jej odmiana. Przyłapano raz w pewnej miejscowości chłopca sierotą na pasaniu bydła na łące dworskiej. Gdy żądanej, jako odszkodowanie, wysokiej opłaty chłopak uiszczyć nie mógł, przybyły z nim dziadek, niepomny głosu krwi, dość chętnie, dla oszczędzenia sobie wydatków i przykrości, przyzwala na wymierzenie mu sporej porcji rązów, jakiej twardo się domagał poszkodowany. W ten sposób pojmują niektórzy nasi obszarnicy szerzenie kultury wśród ludu.

O osadnikach znowu trudno coś powiedzieć ogólnego — tak są często niepodobni do siebie. Więc bez uogólnień. Obok utracjuszków i pijaków, zdarzają się nieraz pracowici i skrzętni. Obok kulturtręgerów, są tacy, którzy przez więzy małżeńskie z ludnością miejscową, ulegają raczej wpływom nowego środowiska i w przyszłości mogą nawet pomnożyć kategorię „tutejszych”. Rozpolitykowany to wprawdzie element. Właśnie przed paru tygodniami pokazywano mi drukowaną odezwę jednego osadnika, który już *dziś* rozpoczął formalną agitację wyborczą i na owym plakacie wysuwa... swą „czcigodną” osobę na kandydata do sejmul.. Jest ona echem, rozumie się, wypadków majowych. Pilni obserwatorzy życia wsi białoruskiej mówili mi, że po ostatnich zajęciach w Warszawie, tu i ówdzie delikatnie próbowano u nas zaorywać cudze ziemie, gospodarzyć w cudzym lesie i t. d. Są to zresztą objawy pospolite i bez większego znaczenia, niektórzy jednakże wrożą możliwość u nas ruchów socjalnych za kilka miesięcy, jakoby na większą skalę. Krytyczny stosunek do Piłsudskiego nie przeszkadza nam stwierdzić, że nazwisko jego bądź co bądź budzi we wsi pewien rezonans.

Przym. s szkolny, właściwy w kraju uprzemysłowionym, gdzie działwa od maleństwa nie jest wciągnięta w pracę domową, ogrodową i polną, na wsi białoruskiej srodze wstrząsa i targa całym układem

życia publicznego, głosząc otwarcie swe przekonania i poglądy, nacechowane zawsze troską o dobro swego rodzinnego kraju, do którego był szczerze i głęboko przywiązany i czego dał niezbity dowód nie opuszczając go nigdy w najcięższych nawet chwilach, mimo, że gdzieindziej oczekiwały go i lżejsze warunki życia i stanowiska i zaszczyty.

Ale nie tylko węzły uczuciowe łączyły Wróblewskiego z jego ojczystym krajem. Stosunek doń zmarłego oparty był na głębszych podstawach rozumowych, wypływających z ogólnego źródła jego wierzeń i dogmatów, związanych harmonijnie z zasadniczym jego światopoglądem ideowym. Był to światopogląd typowego demokraty z połowy ubiegłego wieku, skorygowany tylko nieco zgodnie z przeobrażeniami, jakie zaszły w układzie stosunków społecznych wskutek wzrostu antagonizmów klasowych.

Nieśmiertelne hasła rewolucji francuskiej: wolność, równość, braterstwo miały dlań zawsze urok nieprzeparty, a interpretowane były przezeń niezmiernie szeroko i w każdej dziedzinie.

Stąd wypływało też stanowisko Wróblewskiego w kwestjach politycznych: narodowościowych i pań-

życia ludu naszego. U rolnika wiejskiego dziecko od dzieciństwa—to jego siła robocza, a tak cenna, że bez niej się *nie* obejść! W następstwie tego na wsi rok szkolny faktycznie staje się u nas okresem 150 dni! Tak odbywa się u nas masowa produkcja alfabetów *powrotnych*, jak też pół i ćwierćalfabetów.. Znaczny będzie wśród nich odsetek ludzi niezadowolonych, co pozwala zwrócić się już dziś do prawicy, patronującej polszczeniu kresów, z lakonicznem: *sic vos non vobis*. Kto inny sieje, a kto inny zbierze plony. Chociaż cały misterny aparat czuwa, by nauczycielowi szkoły polskiej na Białorusi nie wymknęło się przy wykładach z ust żadne słowo białoruskie, lud wcale mocno stoi przy mowie ojców, uciekając się zato chętnie do mowy rosyjskiej lub polskiej (niekiedy niemieckiej), gdy lży i taje...

A jakaż nędza na wsi? Jakaż tam jeszcze ciemnota? Na północ, tuż za Wilnem, dziś jeszcze sporo naliczysz chat *kurnych*... wilno nawet nie wie, jak marnie, wobec nieurodzajów zeszłorocznych, odżywia się nasz włościanin małorolny... Cierpliwość godna istotnie podziwu.

Dobry znawca u nas spraw Cerkwi prawosławnej zwrócił niedawno moją uwagę na powolną rozprzedaż dóbr jej, praktykowaną za błogosławieństwem metropolitalnej rezydencji w Warszawie. Obniża to najwyższy autorytet Cerkwi, jątrzy lud prawosławny i ułatwia pracę wszelkiego rodzaju sekciarzom. Nie znaczy to, by o niejednej parafii katolickiej na Białorusi, nie można było też powiedzieć: *śpiąca trzoda*. Ze snu tego mają rozbudzić lud tutejszy szerzone dziś koła młodzieży wiejskiej, ale czy nie będą one tylko ekspozyturą endecji? Nie będzie przecież mieszkał w nich duch *powszechnego* Kościoła, jeśli trafią pod komendę ul. Dominikańskiej.

Oby lekarstwo nie było gorszem od choroby.

Rusticanus.

stwowym, które nie liczyło się ani z tradycjami historycznymi ani z nastrojami psychicznymi i potępiało kategorycznie wszelką przemoc, wszelki ucisk, wszelki gwałt, zadawany chociażby w myśl zasady: *salus reipublicae suprema lex esto*. Kultu bowiem dla żadnej państwowości nie żywił, uważając organizację państwową nie jako cel sam w sobie, lecz jako formę przejściową współżycia gromadzkiego na równi z innymi formami zrzeszeń społecznych.

Potępiając zaborczość i dążności do ekspansji państwowej czy narodowej, jako jedyne wyjście, zapobiegające ustawicznym starciom i walkom między-narodowym upatrywał w federacji wogóle, a na rubieży Wschodu i Zachodu Europy w szczególności.

Federalistą był ś. p. Wróblewski przekonany i konsekwentny i na tym punkcie nie był zdolny do żadnych kompromisów. Był nim i za czasów caratu, i podczas wojny traktując pogardliwie wszelkie orientacje i rachuby na okupantów, i po wojnie nie godząc się ze stanem rzeczy, wytworzonym drogą militarnych faktów dokonanych, a nie wspólnych wysiłków całej ludności kraju.

Był krajowcem, opierając się nie na tradycjach

Dyskusje polsko-białorusko-ukraińskie w Warszawie.

Dnia 16 i 24 czerwca, jak donosi „Głos Prawdy” w sali Klubu społeczno-politycznego w Warszawie, odbyły się wieczory dyskusyjne na temat mniejszości narodowych, zorganizowane staraniem Instytutu badania sprawy mniejszości narodowych w Polsce oraz wymienionego wyżej Klubu. Strona polska reprezentowana była przez cały szereg osobistości politycznych z kół lewicowych; ze strony mniejszości narodowych na oba wieczory licznie przybyli przedstawiciele mniejszości ukraińskiej i białoruskiej, należący przeważnie do kół sejmowych. Terytorjalnie przedmiot dyskusji ograniczony był tylko do sprawy „Kresów wschodnich”.

Podczas obu wieczorów dyskusja była niezmiernie pouczająca zarówno w swej części pozytywnej, jak i w swej części negatywnej. Do tej ostatniej części należy zaliczyć okoliczność, że na obu wieczorach większa część krzeseł niewielkiej zresztą sali Klubu świeciła pustkami. Znaczący „Kresów” należą w Polsce do niezmiernie rzadkich wyjątków, ale też i ludzie interesujący się temi sprawami nie zdają się być o wiele liczniejsi. Do sprawy mniejszości narodowych społeczeństwo polskie odnosi się obojętnie. Jeżeli rząd obecny oczekuje w tej mierze inicjatywy ze strony opinii publicznej, to taktyka jego okazałaby się najzupełniej błędna.

Pierwsi mówcy polscy, jacy zabrali głos w dyskusji, wypowiedzieli szereg uprzejmych zdań pod adresem bratniego narodu ukraińskiego i białoruskiego, podnosząc potrzebę uregulowania na „Kresach wschodnich” spraw utrudniających przyjazne współzycie obu tych narodów z narodem polskim. Mowy te, jak słusznie zauważył jeden z uczestników dyskusji, przypominały mocno mowy wypowiedziane niegdyś na posiedzeniach klubu „Przymierze”, jak się jednak niebawem okazało, sprawa rozważana obecnie w Klubie społeczno-politycznym jest zgoła odmienna od tej, jaka była przedmiotem deliberacji „Przymierza” w latach 1919–1920. Polacy

uczyszczający wówczas do skromnych apartamentów tego klubu przy ulicy Jasnej mieli tam do czynienia z przedstawicielami narodów walczących o swą niepodległość przeciw odległej Rosji, leżącej poza frontem, i komplementy pod ich adresem mówione były poniekąd na rachunek bolszewików. Dziś natomiast, zamiast emigrantów z Unji sowieckiej, Polacy znaleźli się w dyskusji z obywatelami polskimi, członkami sejmu polskiego domagającymi się praw dla ludności ukraińskiej i białoruskiej zamieszkałej na terytorjum Rzplitej.

Różnica między sytuacją z 1919 i 1926 uwidoczniła się w całej pełni natychmiast po pierwszych przemówieniach przedstawicieli mniejszości. Głosy tych ostatnich nie były pozbawione pewnego sceptycyzmu i nawet gorczy. Zauważyli oni nie bez racji, że w ciągu bez mała 6 lat jakie dzielą nas już od ustalenia granic wschodnich Rzplitej, sprawa mniejszości narodowych na „Kresach wschodnich” nie posunęła się ani o krok naprzód, że wszystkie próby podjęte przez rządy i ludzi dobrej woli w celu złagodzenia istniejących tam konfliktów zakończyły się niepowodzeniem tak dalece, że dziś, pomimo 7 lat wspólnego pożycia na terytorjum państwa polskiego Polacy, Ukraińcy i Białorusini, spotykający się w klubie na wieczorze dyskusyjnym, zmuszeni są zaczynać swe debaty od generaljów, jak nieznajomi spotykający się po raz pierwszy.

Naogół mówcy mniejszości stanęli w dyskusji na gruncie czysto narodowym zastrzegając, że zasadniczym postulatem ich jest zdobycie dla swych wyborców prawa samostanowienia o sobie. Zobowiązani wobec wyborców do bronięcia tego postulatu posłowie uważają za niemożliwe pójście na drogę kompromisów, które zawierałyby w sobie jakiegoś rodzaju zrzeczenie tego prawa przysługującego Ukraińcom i Białorusinom po obu stronach granicy nakreślonej traktatem ryskim. To stanowisko nie ułatwia oczywiście dyskusji, której celem byłoby ustalenie „na Kresach”, tymczasowego *modus vivendi* aż do chwili, kiedy sprawa mniejszości narodowych w Polsce dojrzeje do jakiegoś fundamentalnego rozwiązania.

historycznych ani też z poczucia odrębności etnicznej, lecz uważając, że stanowisko krajowe jedynie godzi rozbieżne interesy narodowo-polityczne w naszym kraju i jedynie daje trwałe rozwiązanie skomplikowanego problemu litewsko-białoruskiego. Zagadnienie narodowościowe nie budziło w nim żadnych wątpliwości. Nie uznając danych obiektywnych, jako jedyne kryterjum przynależności narodowej uznawał świadomość subiektywną. Uważał, że w miarę szerzenia się oświaty, różniczkowanie się narodowe w amorfnej masie tutejszej będzie postępowało coraz bardziej, a jednocześnie, z podniesieniem się poziomu uświadomienia politycznego i obywatelskiego, zgodne współzycie rozmaitych narodowości nastąpi samo przez się, bo ustanie wówczas rywalizacja o duszę i język ciemnego analfabety.

Ideąłem była dlań Szwajcaria, gdzie nikomu się nie śni toczyć walk językowych i kulturalnych i gdzie wspólne obywatelstwo godzi doskonale różnolite elementy narodowościowe. „Jestem Polakiem i obywatelem W. Ks. Litewskiego” mawiał często, rozumiejąc pod tym terminem przyszłe państwo litewsko-białoruskie, nie jako wskrzeszony dawny twór historyczny, ale jako zupełnie nowożytny, oparty na podsta-

wach demokratycznych związek federacyjny ludów, pomieszanych ze sobą na terytorjum Litwy historycznej.

Na ten temat prowadziliśmy ze sobą nieraz długie dysputy, gdyż wychodziliśmy z nieco odmiennych przesłanek.

Toczyliśmy spory o rolę czynnika historycznego i pojęcie narodowości. Nie chciał p. Tadeusz się zgodzić, że cechy obiektywne mają wielkie znaczenie przy określaniu narodowości, że subiektywne oświadczenie nie wystarcza tu. Jeżeli np. podam się za Hontentota — będzie to tylko fikcja i nikt nie jest obowiązany brać poważnie tej definicji. Wróblewski był innego zdania. Kwestjonował również wysuwana przezemnie tezę, że nie można być szczerym i konsekwentnym obywatelem danego państwa, skoro się należy do sąsiedniej narodowości, posiadającej własny niezależny byt państwowy, że nie tylko język, pochodzenie, kultura ale i przynależność państwowa stanowią o wspólności lub odrębności narodowej. Gdyby Szwajcar z Genewy uważał się nie za Szwajcara, lecz za Francuza, a Szwajcar z Berna nie za Szwajcara, lecz za Niemca, to nastąpiłby szybko upadek państwa

Z tego stanowiska, zajętego przez przedstawicielstwo sejmowe mniejszości narodowych „Głós Prawdy” wyciąga słuszny wniosek mianowicie, że czekanie na ułożenie jakiegoś kompromisu między klubami sejmowymi polskimi i mniejszościowymi byłoby równie fałszywym jak oczekiwanie inicjatywy wychodzącej od społeczeństwa polskiego. Zarówno kluby polskie jak mniejszościowe nie są do tego wcale przygotowane.

Z powyższej sytuacji wyciągnął konsekwencje p. Tadeusz Hołowko, który wygłosił w pałacu książąt mazowieckich odczyt dostarczający tematu do dyskusji podczas drugiego ze wspomnianych wieczorów. W odczycie swym p. Hołowko naszkicował na użytek obecnego rządu program jego polityki Kresowej. W wywodach swych prelegent wychodził z założenia, że uregulowanie sprawy mniejszości narodowych wynika z racji stanu polskiej, i że omawiany przezeń program liczy się przedewszystkiem z interesami państwa polskiego, a potem dopiero z aspiracjami samych mniejszości. Oto główne punkty tego programu:

1) Dopuszczenie mniejszości narodowych do posad i urzędów na równi z ludnością polską. Mniejszości kresowe, wbrew utartym na bruku warszawskim pojęciom, posiadają zastęp inteligencji, posiadającej do zajmowania posad rządowych tytuły, w niczem nie gorsze od tych, jakimi legitymują się nastani na kresy urzędnicy rdzennie polscy. Przykład Austrii każe wierzyć, że dopuszczenie mniejszości narodowych do udziału w budowaniu państwowości polskiej może dać najlepsze rezultaty. 2) Stworzenie na „Kresach” prawdziwej autonomii lokalnej, do której ludność przywykła zarówno w Galicji jak i na Wołyniu, gdzie za czasów rosyjskich funkcjonowało ziemstwo. Instytucje autonomiczne wytworzyłyby wreszcie zastępy ludzi, obytych z zagadnieniami administracyjnymi i stanowiących na kresach prawdziwe przedstawicielstwo ludności miejscowej. 3) Zadośćuczynienie słusznym żądaniom mniejszości narodowych w sprawach kulturalnych i oświatowych. W odczycie swym p. Hołowko zacytował przejmujący zgrozą fakt, że w czasie krótkich swych rządów

w ministerstwie oświecenia publicznego Stanisław Grabski zamknął w Galicji Wschodniej nie mniej niż 800 szkół ukraińskich, nie licząc 400 szkół mniejszościowych na „Kresach”. Krzywda wyrządzona przez mniejszościom wymaga od obecnego rządu słusznej reperacji. 4) Przeprowadzenie na „Kresach” reformy rolnej, odpowiadającej nie fantazyjnym pomysłom kolonizatorskim ignoranckich nacjonalistów polskich, ale potrzebom ludności miejscowej. 5) Amnestja, poddająca rewizji wyroki, wydane w sprawach mniejszościowych przez ultranacjonalistycznych sędziów, odziedziczonych przez Polskę po mocarstwach rozbiorowych.

Program ten p. Hołowko rozwija również na szpaltach Nr. 6 - 7 „Drogi”, gdzie jednakże zamiast terminu „Kresy” posługuje się równie mile brzmiącym terminem „Województwa wschodnie”. Odrębność historyczną ziem litewsko-białoruskich p. Hołowko starannie pomija milczeniem. Również nie wspomina ani słówkiem o Litwinach. Jest to bardzo znamienne dla poglądów warszawskich działaczy, nawet należących do lewicy...

Zdziczenie.

Opiekując się pewnym grobem na cmentarzu żydowskim i mając zaufanie, jeżeli nie do kultury, to przynajmniej do czci dla zmarłych ze strony wileńskich chrześcijańskich aryjczyków, reklamowanych przez sławę ny „Dziennik Wileński”, jako najreligijniejszych ludzi na globie ziemskim (sic!), a która to cześć dla zmarłych istnieje nawet u dzikich ludów pogańskich, w naiwności mojej w przeszłym roku zasadzić tam kazałem kwiaty — zostały one skradzione w tym roku ponowiłem próbę — z tym samym skutkiem.

Takie kradzieże są na porządku dziennym, tak samo fotografie na nagrobkach — wszystkie prawie porozbijane kamieniami, sam niejednokrotnie bywając na cmentarzu widziałem w biały dzień urwisów, hałasujących, rzucających kamienie i wypędzałem ich.

Helweckiego, kantony niemieckie przyłączyłyby się do Niemiec, francuskie do Francji. Tak samo, gdyby mieszkanieli Brukseli, mówiący po francusku i przesiąknięty wyłącznie kulturą francuską, uważaliby się za Francuza, a nie za Belga, to nic by go nie wiązało z mieszkańcem Gandawy — Flamandem i Belgja musiałaby się rozpaść. Narodowość — to wszak nie tylko język i kultura, ale i poczucie wspólnych interesów i wspólnych dążeń politycznych.

Jeżeli ktoś się uważa za Polaka, to będzie zawsze ciążył do Polski i poczuwał się do obowiązków względem narodu polskiego przedewszystkiem. Polak w zasadzie nie może być prawdziwym obywatelem Litwy; co innego Polak litewski. Ten ostatni przymiotnik, który wobec braku odpowiedniego rzeczownika dla określenia terytorjalnej odrębności (jak np. Szwajcar, Belg, Austriak i t. p.) musi go na razie zastąpić, wskazuje na pewną różnicę w poczuciu narodowym, taką samą mniej więcej jak między Francuzem, a Francuzem szwajcarskim lub belgijskim. Dlatego też wyznawca ideologii krajowej, chociażby był wychowany w kulturze polskiej i posługiwał się wyłącznie językiem polskim, nie może się podawać ogólnikowo za Polaka, lecz koniecznie za Polaka li-

tewskiego. Wróblewski nie uznawał takiego rozróżnienia i utrzymywał, że narodowość, a przynależność państwowa są to dwie kategorie nie mające ze sobą nic wspólnego i w jego umyśle nie budziły powyższe sprzeczności żadnych wątpliwości. Był wybitnym racjonalistą i lekcewał pierwiastki emocjonalne.

Mimo tych różnic w założeniach dochodziliśmy do jednakowych wniosków, że ziemie litewsko-białoruskie stanowią odrębny organizm i że pierwiej lub później rozczłonkowane obecnie jego części połączą się znów razem i że każda akcja polityczno-społeczna, nie idąca po tej linii, tamuje normalny rozwój kraju.

Wróblewski wierzył głęboko, że tak się stanie, ale nie wątpił też, że to nastąpi nieprędko i że w żadnym razie on tego własnymi oczami nie ujrzy.

Prędzej, niż ktokolwiek się mógł spodziewać, spełniły się przewidywania zmarłego co do własnej osoby, miejmy nadzieję, że i jego społeczno-polityczne ideały ziszczą się o wiele rychlej.

Służba cmentarna, nieliczna i steroryzowana, nie może sobie poradzić, szczególnie w nocy, z temi elementami.

I nie urządzają tego pogromu cmentarza bolszewicy, bezbożnicy; nie! to synkowie katolickich aryjczyków, stale podburzanych i podniecanych do zacieklej, zbrodniczej nienawiści do Żydów i wogóle współobywateli innych narodowości przez sławetny „Dziennik Wileński”, wzorujący się w każdym calu na obrzydliwym czarnosecinnym świstku przedwojennym: „Wiestnik Wilenskago Św. Duchowskago bractwa”, zapluty tak samo jadowitą śliną szowinizmu.

Zaprawiając się w ten sposób młodzi aryjczycy — „przyszłość narodu” — na cmentarzach żydowskich, przenoszą te same metody na ulicę i do ogrodów — bijąc ludzi *za to że są Żydami, że mówią innym językiem*. To jest wykwit kultury chrześcijańskiej (?) XX w. A któż tu najbardziej zawinił? Winni oczywiście są ci młodzi *bandyci czynu*, którzy, miejmy nadzieję, zostaną kiedykolwiek poskromieni przez policję i pociągnięci do surowej odpowiedzialności, lecz o wiele bardziej *ci bandyci pióra*, co codziennie sączą jad nienawiści bezgranicznej, tępej, ślepej, bezwzględnej i zacieklej, co stale podburzają jedną część ludności przeciwko drugiej.

I na to patrzą władze i tolerują, patrzy społeczeństwo i w większości *aprobuje*, patrzy demokracja polska i *milczy*. A z płatków śniegu padających w postaci arkuszy gazet — tworzy się wciąż coraz większa groźna lawina, — temat groźniejsza, że działa na młodzież, na pokolenia przyszłe!

Czyż demokracja polska pozostanie głuchą, czyż nie raczy nareszcie zaprotestować głośno przeciw codziennemu od 7 lat wznicianiu i podżeganiu do nienawiści rasowej i narodowościowej przez pisma nacjonalistyczne? Czy nie ma odwagi, czy czuje się zbyt słabą, czy straciła nadzieję, aby zapanowała u nas stosunki prawdziwie demokratyczne i kulturalne? Czy też jak mi mówił pewien cudzoziemiec *prawdziwej demokracji w Polsce niema, są jednostki, reszta to tacy sami zakopturzeni nacjonałiści lub oportuniści?* Nie chce się temu wierzyć!

Ostatnio coraz więcej powtarzające się wypadki bicia Żydów na ulicach Wilna, są dowodem, że deprawacja tłumów postępuje szybkim krokiem. Czas więc najwyższy, aby wystąpić z protestem nie tyle przeciw *skutkom*, (bo na to jest władza administracyjna, która ponosi odpowiedzialność za swą opiekałość, ile przeciwko *głębokim przyczynom* które usunąć należy, jeżeli nie w imię zasady humanitaryzmu i ogólnoludzkich ideałów, to w imię dobra kraju i społeczeństwa, któremu zagraża zupełne zdziczenie.

Euzebjusz Łopaciński.

Z mego notatnika.

Pomieszanie pojęć.

Gdy przed niedawnym czasem redakcja „Kurjera Wileńskiego” publicznie zdemaskowała jednego ze swych współpracowników, przekonawszy się, że jest jednocześnie konfidentem policji politycznej czyli, nazywając rzeczy po imieniu, — szpiclem i w ostrych słowach napiętnowała ten proceder, — ucieszyłem się szczerze. Przed wojną nikomu by nie przyszło na myśl zastanawiać się nad kwalifikacją tak hanieb-

nego rzemiosła; najwięksi reakcjoniści mieli w tej dziedzinie identyczne zapatrywania z najskrajniejszymi rewolucjonistami. Ale to była etyka XIX stulecia, jakby powiedział p. Cat.

Moralność XX wieku, ściślej powojenna uległa znacznym przeobrażeniom. Delatorstwo i służbę wywiadowczą zaczęto uważać za zajęcie zgoła honorowe, ba nawet zaszczytne. Niejednokrotnie podnoszono kwestję, czy jest dopuszczalne, aby słuchacze uniwersytetu pracowali jednocześnie w policji i pełnili w swym środowisku rolę poufnych jej informatorów. Jednakże ta ohyda ani razu się nie doczekała kategorycznego potępienia: opinia publiczna zajęła stanowisko niezdecydowane, władze uniwersyteckie, mimo nalegań, czynionych prywatnie przez rozmaite osoby, nie odważyły się na śmiałe wystąpienie, prasa polska, nawet demokratyczna milczała uporczywie, a, co najsmutniejsze, nie zareagowały dotąd wcale organizacje młodzieży akademickiej, tolerując i sankcjonując, wyraźnie te objawy przerażającej deprawacji.

Dłatego też niedwuznaczne oświadczenie „Kurjera Wileńskiego” sprawiło przyjemną niespodziankę, jako dowód, że głoszona szumnie sanacja moralna istotnie zaczyna oddziaływać, chociaż przynajmniej w teorii i że ustalone, zdawałoby się, pojęcia i normy etyczne, odzyskują już swą dawną moc i wartość.

Tem przykrejszy zawód mię spokał, gdy po niejakiem czasie przeczytałem w tymże „Kurjerze Wileńskim” artykułik p. t. „Samosądy”, gdzie autor stawia na równi ze sobą i obejmuje wspólnem mianem „błota” takie fakty, jak dwa wypadki zabójstwa szoferów w Warszawie i Nowojelni przez zdegenerowanych czy rozzuchwalonych oficerów oraz zamordowanie w Łodzi prowokatora przez młodego komunistę. Czyż redakcja „Kurjera Wil.” nie widzi głębszych różnic pomiędzy temi czynami i czyż trzeba jej tłumaczyć, że zamach polityczny, dokonany z pobudek ideowych nie może być rozpatrywany w tej samej płaszczyźnie, co wybryk dzikiej samowoli?

I znów trzeba sięgnąć do czasów przedwojennych. Niewątpliwie w oczach przeciętnego lojalnego Rosjanina każdy rewolucjonista, spiskowiec, dążący do obalenia caratu był osobnikiem nie mniej szkodliwym i występny, niż dla dzisiejszego państwowca polskiego współczesny komunista. Jednakże najzacieklejszy czarnosiecznik nie zdobyłby się na postawienie obok siebie niepoczytalnego awanturnika strzelającego w napadzie furji do nieposłusznego furmana i członka organizacji rewolucyjnej wymierzającego karę na zdrajcy i prowokatorze z własnej inicjatywy czy z wyroku partji. A pismo mieniące się demokratycznym, nie rozumie tych różnic.

Może ta ślepotą pochodzi stąd, że pismu od czasu do czasu są zastrzykiwane silne dawki „wściekizny”?

Nieudana komedia.

T. zw. „Zjazd Zachodniej Białorusi”, który się odbył w Wilnie w ostatnich dniach czerwca dał bardzo wiele pouczającego materiału. Niestety prasa polska prędko przeszła nad nim do porządku dziennego, podając jedynie uchwalone w końcu rezolucje, nie posiadające większej wartości, jako podyktowane zgóry. Natomiast dyskusja, która towarzyszyła obradom, przemówienia uczestników zjazdu i wogóle cały jego nastrój były o wiele ważniejsze i ciekawsze.

Mimo że zjazd był zwołany przez głośnego p. Pawlukiewicza, nie reprezentującego żadnego sa-

modzielnego kierunku politycznego w społeczeństwie białoruskiem, nie posiadającego żadnych wpływów ani autorytetu moralnego i wysuwanego jedynie przez rząd polski dla pełnienia roli fikcyjnego przedstawiciela ugodowej orientacji, mimo więc że się składał w znacznej mierze z dobieranych starannie statystów, zawiódł on zdaje się, w zupełności oczekiwania aranżerów.

Jeżeli ten zjazd miał zmanifestować lojalność i przychylne usposobienie ludności białoruskiej względem państwowości polskiej, a o to zdaje się głównie chodziło, zważywszy na gorliwe poparcie, jakiego nie szczędziły akcji p. Pawlukiewicza miejscowa administracja i władze centralne, to trzeba przyznać, że rezultat wypadł zgoła odmiennie.

Prócz paru referatów, sfabrykowanych przez samych inicjatorów zjazdu, wszystkie inne były utrzymane w duchu mocno pesymistycznym, przemówienia zaś poszczególnych uczestników, zwłaszcza nauczycieli ludowych cechowała jaskrawa opozycyjność. Jeden z nich np. oświadczył, że nie może mówić pełnym głosem, bo gardło ma jeszcze zduszone podczas badania policyjnego... Inny znów mówca przyznał się publicznie że nie ma właściwie prawa występować jako delegat ludności, bo nikt go nie wybierał, lecz przybył na zjazd na zaproszenie jedynie p. Pawlukiewicza i że wszyscy tu obecni są takimiż sfalszowanymi delegatami.

Charakterystyczne było wielce ogólne żądanie zebranych. aby w telegramach powitalnych pod adresem przedstawicieli państwa wszędzie był zastąpiony termin „Kresy wschodnie“ przez „Białoruś Zachodnia“...

Wskutek presji inicjatorów zjazdu, a może też i obecności licznie zgromadzonej policji uchwalono rezolucje bardzo umiarkowane, zgoła nie odpowiadające przekonaniom ogromnej większości uczestników zjazdu; o czym można się było z łatwością przekonać obserwując uważnie zachowanie się zebranych podczas dyskusji, zwłaszcza w sprawie reformy rolnej i oświaty.

A trzeba ciągle pamiętać o tem, że prócz niewielkiej grupy zdeklarowanych opozycjonistów, która przed końcem obrad opuściła salę, zgłaszając protest, — reszta zebranych składała się z żywiołów biernych, powolnych i zahakanych.

Jeżeli więc i ten, tak sztucznie dobrany zjazd, pomimo wysiłków prezydium, co chwila wybuchał oburzeniem i wznosił okrzyki protestu, gdy mówcy w dosadnych słowach przedstawiali oplakany stan wsi białoruskiej, to cóż za burza by się zerwała, gdyby na zjazd się zjechali istotnie reprezentanci ludu, nie liczący się z żadnymi względami pobocznymi? I co musi się dziać w rzeczywistości na tej nieszczęsnej Białorusi, gdy najbardziej ugodowi referenci nie umieli powiedzieć nic pocieszającego, prócz gołosłownych zapewnień, że teraz po przewrocie majowym nastąpią lepsze czasy?

Wielka szkoda, że prasa polska nie zamieściła szczegółowych sprawozdań ze zjazdu. Dałyby one wiele do myślenia tym politykom, którzy łudzą się, że robota p. Pawlukiewicza ma jakieś realne podłoże pod sobą, w czym zresztą stara się ich utwierdzić, dla niezrozumiałych powodów, „niezależny i demokratyczny „Kurjer Wileński“.

Licz.

Piszą do nas.

W obronie poety białoruskiego.

W Nr-ze 12-m „Przegl. Wileńskiego“ z dn. 27 czerwca r. b. w dziale: „Bibliografja“ została wydrukowana recenzja o przekładzie „Demona“ M. Lermontowa przez Kraucou'a Makara na język białoruski, w której recenzent, podpisany literami „ex“, mówiąc o tłumaczu, wspomina drugiego poetę białoruskiego Leuczyka i stawia go obok tłumacza w takim zestawieniu:... „wcale nie chcemy przez to powiedzieć, że obu poetów jednakowo cenimy. Nie! Gdy Leuczyk nie mógł, lub też nie chciał pracować nad pewną, wrodzoną może łatwością pisania wierszy i w swym rozwoju poetyckim zatrzymał się dość wcześniej“... Otóż, czy nie zawczasie sz. recenzent „ex“ już tak określa H. Leuczyka?

Znam osobiście tego Leuczyka, który jeszcze żyje i pracuje, i nawet upoważniony jestem przez niego do poinformowania pana recenzenta „ex“, iż Leuczyk może trochę „nie mógł“, lecz nie „nie chciał pracować“, jednakże wciąż dalej pracuje w swym rozwoju i nie „zatrzymał się“! Czy Sz. recenzent ex uważa, iż utwory jakiegoś naprz. poety czy pisarza, wydane tylko drukiem, mogą już ostatecznie świadczyć o wartości i znaczeniu pracy poetyckiej czy piarskiej danego poety lub literata? A jeżeli jakimś pocie los się nie uśmiecha, by prace jego szybko ujrzały światło dzienne w druku? To co? To go może na już uśmiercić nawet za życia jego? Znam wielu poetów białoruskich, których utwory muszą jeszcze leżeć w rękopisach, bo naród białoruski jest jeszcze za biedny, by wydawać je drukiem. Wiemy przecie, iż: „poezja poetów jeszcze biednego ekonomicznie narodu — prowadzi do... głodu“. Naród pieniędzy na wydanie ich dzieł nie ma, a poeta musi przecież żyć, więc musi często — zwłaszcza teraz — inaczej — nie piórem zarabiać na chleb... Nie wszyscy autorzy mogą mieć w dzisiejszym czasie czy szczęście, czy środki, czy stosunki z wydawcami lub nakładcami, by ogłosić swe prace już drukiem!?. Słowem, recenzent „ex“ zawczasie o Leuczyku decyduje! To tylko chciałem powiedzieć.

Na poparcie swych słów, że naród białoruski w dobre swego odrodzenia jest jeszcze za biedny (o czym każdemu zresztą jest wiadomo), by mógł wszystkich swoich poetów zadowolić, ogłaszając ich prace drukiem, przytoczę słowa Konstantego Srokowskiego (brozura: „Sprawa Narodowościowej na Kresach wschodnich“ — str. 56): „Mniejszości słowiańskie na kresach wsch. (a więc i naród białoruski) są uciskane narodowościowo i wyniszczane gospodarczo“... A na str. 55 p. K. Srokowski powiada: „Takiego jednak wypadku, aby wobec jakiejś narodowości stosować metodę unifikacyjną, ignorując równocześnie jej potrzeby ekonomiczne, a nawet celowo upośledzając ją gospodarczo, nowe dzieje nie znają“. Więc skąd naród białoruski wobec tego może mieć środki czy pieniądze na wydawanie drukiem dzieł swoich poetów i pisarzy, gdy mu samemu i na chleb nie wystarcza?.

Dlatego też utwory czy Leuczyka, czy też wielu innych muszą jeszcze leżeć w rękopisach w kurzu zapomnienia, lub są przepisywane odręcznie przez amatorów i zwolenników. „Białoruskie T-wo Wydawnicze“ bowiem rozporządza bardzo małymi środkami i nie każdy może korzystać z jego pomocy.

E. L.

Kilka uwag o Sądach Pokoju.

Wobec przerażającego obniżenia się poczucia prawa i kompletnego zaniku etyki ludzkiej nawet u góry, a tembardziej w masach, walczą Sądy Pokoju z zalewającą je falą spraw.

Ilość spraw wzrasta, a jednocześnie wzrasta ilość apelacji od wyroków najsluszniejszych w sprawach najdrobniejszych. Strony liczą w II instancji, jeżeli nie na zmianę, to choć na złagodzenie wyroku, a w każdym razie na zwłokę — a tymczasem korzystają i nadużywają stanu *ex lex*.

Tym sposobem wpływ i autorytet Sądów Pokoju jest osłabiony przez to, że ludność nie dostatecznie liczy się z wyrokami I instancji, a także przez plagę krzywo-przysięstwa, która utrudnia słuszny wyrok I instancji, bo świadków można dzisiaj znaleźć do każdej sprawy.

Myślę, że jedynym wyjściem z tej sytuacji, byłoby obdarzenie większym zaufaniem sumienia sędziów, bo i na czemże wyroki mają się oprzeć, jeżeli zeznania świadków nie są wiarogodne?

Dalej należało by znieść apelacje od wyroków drobnych, pozostawiając jedynie prawo kasacji. Przed wojną wyroki naczelników ziemskich były ostateczne w sprawach cywilnych do wysokości powództwa w kwocie 30 rubli i do 3 dni aresztu w sprawach karnych i 5 rub. odszkodowania.

Następnie musimy przyznać Rosji carskiej, że samorząd gminny istniał tam nie tylko na papierze, ale *de facto*, czego wyrazem były — stanowiska wójtów i sędziów gminnych z wyborów ludności; podlegali oni co prawda zatwierdzeniu wyższej władzy, ale jedynie z pośród kandydatów wybieranych przez ludność.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że sądy gminne rozstrzygały wszystkie sprawy o nieruchomości ziem nadziałowych, — wszystkie sprawy cywilne do 300 rubli, z wyjątkiem spraw własności lub władania nieruchomością, opartych na aktach rejentalnych, — dalej w sprawach działowych i spadkowych ziem nadziałowych, wyrokowały bez ograniczenia powództwa, a o nieruchomościach nie nadziałowych do wysokości 500 rubli — w sprawach karnych mogły stosować obostrzony areszt miesięczny, to uprzytomnimy sobie jak odciały one sądy koronne w zakresie drobnych i zawiłych spraw granicznych, stanowiących tło życia wiejskiego. Prawda, że apelacja była dozwoloną od wszystkich wyroków sądów gminnych i ludność korzystała z niej obficie, ale apelacje do 30 rubli powództwa i 3 dni aresztu załatwiał ziemski naczelnik sam *na miejscu* i tylko sprawy powyżej tej normy odsyłał do Zjazdu. Oczywiście i tam wykonanie nie zawsze było idealne, ale prawodawca postarał się dać możliwość szybkiego wymiaru sprawiedliwości i opierał się na zasadzie: „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi”.

Z powodów tu przytoczonych wynika, że nie leży w interesie ludności i kraju powiększanie okręgów terytorjalnych Sądów Pokoju, ale raczej ich zmniejszenie przez tworzenie nowych okręgów sądowych, tem więcej, że Sądy Pokoju zdolają się opłacić same z wpływów za grzywny i opłaty sądowe, — nie będą więc ciężarem dla Skarbu.

Adam Ciszewski.

List do Redakcji.

Szanowna Redakcjo!

Z powodu wzmianki w kronice (№ 12 z dn. 27 czerwca r. b.) „Przeł. Wil.” pod tyt.: „Dwa grzyby w barszczu” — względnie uwagi końcowej: „Czy nie za dużo już tej warszawskiej opieki i troskliwości o nasz kraj?” — Tymczasowy Zarząd T-wa: „Biel. In. Has. Kult.” niniejszem ma zaszyt prosić Redakcję „Przeł. Wil.” o łaskawe sprostowanie i wyjaśnienie. Otóż T-wa: „Biel. Inst. Gospod. i Kult.” nic niema wspólnego, przynajmniej narazie, z podobnym „Instytutem badań stanu gospodarczego Ziemi Wschodnich”, który nie ujawnił dotychczas żadnego życia na dobro naszego kraju. Ponieważ dotychczas wszystko się składało i składa na niekorzyść naszego kraju, a zwłaszcza zamieszkałego w nim narodu białoruskiego, przeto naród białoruski zmuszony jest w obronie swej egzystencji i w interesie kulturalnym i gospodarczym wytworzyć taką instytucję, któraby go prowadziła ku lepszej przyłości, polegając na swoich własnych siłach: „Sami sobiel”.

Taką instytucją krajową ma być: „Białoruski Instytut Kultury i Gospodarki” jako T-wa białoruskie, mające główną siedzibę swoją w m. st. Warszawie. Celem jego, jak głosi zatwierdzony przez Min. Spraw Wewn. z dn. 7 maja r. b. Nr. B. B. 3789/26 i zapisany do rejestru towarzystw i związków Nr. 1552 dn. 26 maja r. b., statut T-wa, jest: popieranie rozwoju rolnictwa krajowego wraz z ogrodnictwem, pszczelarstwem i przemysłem rolnym; przemysłu ludowego rzemiosła, techniki i sztuki ludowej; krzewienie i popieranie kultury duchowej, nauki i oświaty. W dążeniu do osiągnięcia tego T-wa: „Biel. In. Has. Kult.” będzie zakładać i prowadzić wzorowe gospodarstwa, stacje doświadczalne, pasieki, warsztaty; otwierać składy narzędzi rolniczych i wytworów gospodarstwa, pracownie narzędzi i przetworów rolnych i pasiecznych; przeprowadzać meljoracje rolne; popierać uprawę drzew i roślin korzystnych dla rolnictwa; urządzać wystawy i pokazy, konkursy i wydawać nagrody, odczyty, wykłady, koncerty, wydawać i rozpowszechniać książki, broszury i pisma w swym zakresie; zakładać i utrzymywać czytelnie, biblioteki, księgarnie, muzea i domy ludowe; otwierać i utrzymywać *zakłady naukowe*: wyższe, średnie i niższe oraz początkowe — zawodowe i ogólnokształcące oraz kursa i seminarja nauczycielskie, przeprowadzać badania naukowe i statystyczne, próby i doświadczenia i t. d. i t. d.

T-wa: „Biel. In. Has. Kult.” będzie mocno *stać na stanowisku* ponad wszelką politykę partji politycznych!

Z tego można już wywnioskować, iż „grzyb drugi” w naszym barszczu jest nie tylko pożądanym, ale i koniecznym. Niezbędny! A troskliwość o nasz kraj polega przede wszystkim na obronie zagrożonej egzystencji życia kulturalnego i ekonomicznego przynajmniej w stosunku do narodu białoruskiego w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

Do Tymczasowego Zarządu T-wa: „Biel. Inst. Has. Kult.” zostali wybrani:

- | | |
|------------------|------------------------------|
| 1. jako Prezes; | Adam Bildziukiewicz, |
| 2. „ Vice Prezes | Aleksander Babiński, |
| 3. „ członkowie | Al. Nazarewski (senator), |
| 4. „ | ks. Ad. Stankiewicz (poseł), |
| 5. „ sekretarz | E. Lewkowicz. |

Do Komisji Rewizyjnej: 1. Al. Własow, (senator),
2. W. Rogula (poseł)
3. W. Bohdanowicz (senator)

Adres T-wa: „Biel. In. Has. Kult.”

Warszawa, ul. ks. Skorupki 12, m. 11.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku i poważania
w/z Tymcz. Zarząd T-wa

„Biel. In. Has. Kult.”

Sekretarz T-wa E. Lewkowicz.

Warszawa, 5 lipca 1926 r.

(Przyp. Red.) Podzielamy najzupełniej pogląd Sz. Zarządu „Biał. Instytutu”, że organizacja o tym typie jest potrzebna i pożyteczna, sądzymy tylko, że obranie dla niej siedziby w Warszawie jest niefortunne i z czoły skazuje ją, jako oderwaną od gruntu na zanik żywotności. Tak samo sceptycznie się zapatrujemy na założony nieco wcześniej „Instytut badań stanu gospodarczego Ziemi Wschodnich”. Stąd nasze określenie „dwa grzyby w barszczu”. Pewnie będziemy się cieszyli, jeżeli nasze przewidywania się nie sprawdzą.

Przegląd prasy żydowskiej.

(Żydzi wobec zmian konstytucji polskiej).

Aktualna obecnie sprawa zmiany konstytucji polskiej głośnym echem odbiła się na łamach prasy żydowskiej.

Poseł Jakób Wygodzki występuje w „*Hajncie*” przeciwko pseudo-demokratom polskim, zdaniem których parlamentaryzm zbankrutował, podkreślając jednocześnie doniosłe znaczenie wychowawcze ustroju demokratycznego, związanego z przeszłością kraju w ciągu całych stuleci, jak to ma miejsce naprz. w Anglii.

Poseł Wileńszczyzny wskazuje na osobliwe warunki, że względu na niski u nas poziom kulturalny, w których znajduje się parlamentaryzm polski, co ujemnie wpływa również na bieg wewnętrznego życia Żydów.

Poseł Wygodzki, będąc w zasadzie przeciwnikiem wszelkich zmian w konstytucji, oprócz tej, która dotyczy pełnomocnictw dla Prezydenta Rzeczypospolitej, zaznacza, że los żydostwa polskiego jest ściśle związany z ustrojem demokratycznym.

Uzupełnieniem niejako wywodów posła Wygodzkiego jest artykuł, jaki się ukazał na łamach tegoż „*Hajntu*” pióra p. Izaaka Grinbauma.

Na wstępie leader „Koła Żydowskiego” stwierdza, iż rząd będzie miał przeciwko sobie jednolity front lewicy i mniejszości narodowych, jeżeli trzymać się będzie mocno wszystkich swoich żądań i zmuszony będzie skierować się coraz bardziej na prawo, gdzie czekają na niego z rozpostartymi ramionami. Ale za miłość prawicy rząd będzie musiał zapłacić drogo i to zaraz — w ustawie o zmianie konstytucji.

Omawiając rozczarowanie ogarniające masy ludowe z powodu powolnej kapitulacji rządu prof. Bartła przed prawicą, poseł Grinbaum temi słowy charakteryzuje stosunek Żydów do realizatorów „przewrotu majowego”:

„Toć my najbardziej jesteśmy zainteresowani w uratowaniu obecnego rządu od ugrzęźnięcia w błocie prawicowem. Toć my powinniśmy być ostatni przy popychaniu go w to błoto. Rozumie się, że nie możemy z tego powodu poświęcać naszego stanowiska zasadniczego, nie możemy osłabiać naszej krytyki, nie możemy tuszować żadnej krzywdy. Mimo to nie możemy się jeszcze odnosić do rządu p. Bartła, jak do rządów poprzednich, które stały zasadniczo na gruncie programu eksterminacyjnego”.

P. Grynbaum występuje przeciwko twórcom t. zw. ugody polsko-żydowskiej, którzy żądają teraz uprawiania bezwzględnej polityki opozycyjnej, by w ten sposób zemścić się na p. Bartlu za zawody, doznane od pp. Skrzyńskiego i Grabskiego, poczem konkluduje:

„Zaostrzymy naszą terazniejszą opozycję względem rządu, skoro tylko stanie się dla nas jasnym, że nie można go wyratować z objęć prawicy”.

W związku z opinią posła Grynbauma, będącego zdecydowanym zwolennikiem „przewrotu majowego” i rządu prof. Bartła, na uwagę zasługuje wywiad współpracownika białostockiego „*Das Naje Leben*” z senatorem d-rem Rottenstreichem.

P. Rottenstreich m. in. oświadczył:

„Rząd obecny: Bartel - Piłsudski nie posiada jeszcze programu. To też tymczasem sejm nie może być rozwiązany. Rząd musi mieć coś do powiedzenia wyborcom. Piłsudski jednak wierzy, że czyni jego przed wyborami będą oznaczać program.

Tymczasem jest pewnym, iż Sejm wkrótce zatwier-

dzi projekt rządowy, dotyczący praw Prezydenta co do rozwiązania Sejmu.

Co się zaś tyczy ordynacji wyborczej, należy przypuszczać, że gdy ulegnie ona zmianie, wówczas dojdzie do porozumienia pomiędzy l-wicą a prawicą kosztem Żydów i innych mniejszości narodowych”.

Najbliższa przyszłość wyjaśni, czy przypuszczenia wybitnego członka „Koła Żydowskiego” były słuszne.

Miecz. Gold.

Bibliografia.

Friedrich Ritter von Lama. *Papst und Kurie*. Doppelheft VI VII 1926. Illertissen. Str. 361 — 456.

Treść tego zeszytu dotyczy polityki papieskiej i kurjalnej względem Rosji, Ukrainy, Estonji, Łotwy, Litwy (szereg innych państw opuszczony, co nie może być dla nas obojętnem). Trzeba wiedzieć, jak trudno będąc obcokrajowcem i nie posiadając języków wschodniej Europy, zebrać potrzebny do tematu powyższego materiał i należycie w nim się zorientować. Inną znowu trudność stanowi wycucie wytycznych polityki kościelnej z jednej strony, a aspiracji narodowych i państwowych z drugiej. Wszystko to się udało p. von Lama, który przytem nie zatracił i swego własnego oblicza. Jako wytrawny publicysta i dziejopis *temporis praesentis*, autor doniosłej pracy ma własną linię polityki pokojowej, w imię której domaga się większej sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych, wytworzonych przez *dictando* Wersalskie. Narracja zajmująca, obfitująca w momenty dla przeciętnego czytelnika nieznanne a ciekawe. Styl żywy, jędrny, obrazowy, nawet cięty. Są i błędy.

Najnieluszniej autor nazywa Lenina... żydem. Również złudzeniem jego jest, gdy gotów uznać dobrą wolę Sowietów w próbach dojścia ze Stolicą Apostolską do jakiegoś porozumienia. Notuję tu znamienny szczegół. Oto Lenin umierając, zawiedziony, miał jako ostatnie słowa, wyrzec: *Prosti, Gospodi, prosti!* Omawianie w Z. S. S. R. osobno Rosji, Ukrainy, Gruzji jest słuszne, ale niekonsekwencją jest wobec tego pominięcie Białorusi, która stanowi też odrębną część Sowietów. Przedsięwzięta już z Mińska propaganda białoruskich postulatów narodowo-państwowych zagranicą może położyć koniec mylnym tam wyobrażeniom o Białorusi i Białorusinach.

Zdaje się, p. v. Lama nie wie, że nieliczni katolicy w Estonji są pod jurysdykcją obecnego sufragana ryskiego Józefa Rankana, który w Tallinie figuruje bodaj, jako delegat apostolski Estonji. Jak dokładnie autor książki „*Papst und Kurie*” informuje Zachód, dowodzi zamieszczenie w rozdziale „*Latwija*” *in extenso* całego a nadzwyczaj ciekawego konkordatu z Watykanem. Mniej szczęśliwe jest określenie: *der weissrussische (sic) Bischof Matulewicz von Wilna*, bo chociaż istotnie większość jego diecezjan posługiwała się tą mową, brzmi ono nieco bałamutnie.

W rozdziale „*Litwa*” też potrzebne są sprostowania. W r. 1920 w Wilnie zajęte zostało przez „zbuntowanego” Żeligowskiego nie *am 1 September*, lecz 9 X, i profesorowie (Litwini) seminarjum duchownego przynajmniej bezpośrednio, nic przytem nie ucierpieli. Archidiecezja wileńska nie jest zależną *unmittelbar* od Stolicy Ap., a na wysunięcie kandydatów tych lub innych wpływ przemożny, mimo konkordatu, ma episkopat polski. Po raz pierwszy w tem dziele

jest zwięzły opis, opatrzone tekstem not protestowych, zatargu między Litwą a Watykanem w r. 1925. P. v. Lama jest szczerym przyjacielem Litwy, więc jego o tym zatargu opinia wdwojnasób jest ciekawa.

Resztę zeszytu wypełniają informacje, dotyczące polityki kościelnej względem państw skandynawskich (silny polski polityczny wpływ był do wojny w życiu kościelnym Finlandji), Belgji, Szwajcarii oraz państw półwyspu Iberyjskiego i Argentyny.

P. K.

W okresie wakacyjnym „Przeгляд Wileński będzie wychodził w odstępach rzadszych, natomiast w zwiększonej objętości.

Redakcja i administracja naszego pisma będą otwarte w ciągu lipca i sierpnia od godz. 2 do 3-ciej.

KRONIKA.

Goście zagraniczni. W ciągu ostatnich tygodni odwiedził naszą redakcję szereg przyjezdnych badaczy naukowych, literatów i dziennikarzy, między innymi p. Edward Sahkenberg, korespondent estońskiego pisma „Vaba Maa” oraz miss Eleonore van Eltz, korespondentka pism amerykańskich i angielskich.

Goście interesowali się głównie kwestją stosunków polsko-litewsko-białoruskich, zagadnieniami historycznymi oraz etnograficznymi.

Amnestja! Pod tym tytułem otrzymaliśmy litografowany Nr. 1 „Biuletynu międzypartyjnego sekretarjatu dla walki o amnestję dla więźniów politycznych”, który został wydany w Warszawie pod datą 28 marca b. r. Biuletyn zawiera odezwę, uchwały i obfity dział informacyjny w pałacej kwestji amnestji dla więźniów politycznych w państwie polskim, której się domagają szerokie masy ludności. Podkreślić należy, że nawet zjazd białoruski p. Pawlukiewicza uchwalił podobną rezolucję.

„Nowy Kurjer Polski” umieścił list znanego adwokata z Wilna, Stefana Mickiewicza, który pisze między innymi:

„Wszyscy oczekują, że nowy Prezydent ogłosi amnestję nie tylko dla więźniów karnych, lecz—i to przedewszystkiem—dla politycznych, darując im winy i przywracając prawa. Opinia „Kresów” domaga się zupełnej amnestji”.

Biał. Włość.-Robotnicza Hramada też wydała odezwę do ludności białoruskiej, nawołującą do zbierania podpisów pod żądaniem amnestji.

„Jednota Wileńska”. Z powodu odbywających się obrad w Wilnie Synodu Ewangelicko-Reformowanego, „Kurjer Wil.” zamieszcza krótki zarys dziejów kościoła katolickiego w Litwie, zawierający między innymi następujące ciekawe szczegóły:

„Od wieków istniała ta wyznaniowa organizacja jako jednostka samodzielna i niezależna od Synodów i Zborów Helweckich bądź w Polsce, bądź w innych krajach. Rządziła się własnymi prawami — zwanymi kanonami, uchwalanymi przez najwyższą władzę swą — Synod. Czerpiąc podstawę z wyznania helweckiego, ma swe własne źródło Wielką Agendę. Najwyższym duchownym dostojnikiem jest Generalny Superintendent, który jedynie podlega władzy Synodu Wileńskiego.

W zbiorach tutejszego Synodu znajdujemy masę dowodów z jakim stoicyzmem dbano o tę samodzielność wyznaniową i organizacyjną Jednoty Wileńskiej. W liście Kalwina z dn. 9 października 1561 roku „do Ministrów i Starszych Zboru Wileńskiego” (przechowywanego w Archiwum Synodu) uwypukla się to niezależnienie się zboru Wileńskiego. Synod Warszawski, który łączy się Synodem Ew.-Reformowanym Rzeczp. Polskiej, jest bliższą i bratnią organizacją wyznaniową, lecz równoznaczną mu i niezależną w niczym jednostką jest Synod Wileński. Między tymi Synodami zachodzą oprócz różnic organizacyjnych jeszcze pewne różnice obrządkowe, tradycyjne, a nawet niektóre wyznaniowe. W ostatnich latach Synod Warszawski stara się te różnice niwelować, ostatnio nawet przyjął Wielką Agendę, aczkolwiek nie całkowicie”.

Z okazji obecnej sesji Synodu odsłonięta została w Kościele Ewang.-Reformowanym w Wilnie tablica pamiątkowa ku czci Mikołaja Radziwiła Czarnego, gorliwego krzewiciela Reformacji na Litwie i również gorliwego obrońcy samodzielności W. Ks. Litewskiego. Jak wiadomo, Mikołaj Czarny był zaciętym przeciwnikiem Unji Lubelskiej..

Biskup bez diecezji. Wolnomyślny i nie interesujący się zgola kwestjami religijnymi i wyznaniowymi „Kurjer Poranny” czyni jedyny wyjątek dla osoby biskupa Bandurskiego, o którym zawsze się odzywa z nieskrywanym entuzjazmem i o którego losy stale się troszczy.

W dniu imienin biskupa Bandurskiego organ marszałka Piłsudskiego zamieścił ob-zerny oryktul wstępny z portretem solenizanta, utrzymany w tonie panegirycznym, w którym, między innymi, czytamy: „Dla Wileńszczyzny staje się faktycznym Pasterzem, uznanym i wielbionym przez całą ludność (?), która w nim widzi swego orędownika, obrońcę i wyraziciela uczuć i myśli”..

W konkluzji żąda pismo oczywiście przydzielenia tak wybitnemu patriocie polskiemu jakiejś diecezji. Ale Watykan głuchy jest wobec tych domagań się...

Zmartwychstanie „Straży Kresowej”. Pod wpływem wypadków majowych w Warszawie rozproszeni i wegetujący od dłuższego czasu „strażacy” poczęli zdradzać objawy wyraźnego ożywienia. Jako element ruchliwy i przemysłny, zamiarkowali odrazu, że nadarza się sposobność do odegrania pewnej roli na arenie życia publicznego i zajęcia bliżej nieokreślonych, ale intratnych stanowisk. W tym celu powstał w mig „Związek Naprawy Rzeczypospolitej”, będący nową firmą dawniej „Straży Kresowej”. Wypłynęły zapomniane już nazwiska Małowieskiego, Mydlarza, Wścieklicy, Ostrowskiego, Kamińskiego. Zwołany został w Wilnie nieunikniony wiec... W braku aktualnych hasel nacjonalistycznych sprytnie towarzyszywo zajęło się propagandą idei „odrodzenia moralnego”. Ładnie się ono wobec tego zapowiada!

Stronictwo żubrów. Żubry kresowe przypomniwały sobie dawne dobre czasy i w Warszawie postanowiły przypomnieć światu, że chociaż wojna wygubiła je doszczętnie w puszczy Białowieskiej, lecz Opatrzność zachowała gdzieś gdzieś pojedyncze okazy w innych okolicach. Z tych szcztaków utworzono „Organizację Zachowawczą Pracy Państwowej”, do której weszli starzy samotnicy: Hipolit Gieczewicz, Stanisław Wańkiewicz, Aleksander Meyszłowicz, młodzi: ks. Eustachy Sapieha, hr. Jan Tyszkiewicz i inni oraz żubry bez grzywy: prof. Wł. Zawadzki i redaktor „Słowa” St. Mackiewicz. Ku wielkiemu zdumieniu nie znajdujemy na liście założycieli nazwiska dr. Tadeusza Dembowskiego, przywódcy wileńskich monarchistów.

Z przykrością natomiast zauważyliśmy nazwisko rektora Marjana Zdziechowskiego, którego aż tak daleko zaprowadziła chorobliwa obawa przed bolszewizmem.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Tallat-Kielpszowi w Krasnymstawie. Za pamięć i ofiarę serdecznie dziękujemy.

P. K. Sokołowskiemu w Warszawie. Wymienione w liście artykuły są znane dobrze interesującym się przeszłością naszego kraju i były już przedrukowywane w pismach wileńskich. Stanowią one ciekawy przyczynek do ówczesnych nastrojów w miejscowym społeczeństwie polskim, tak niepodobnych do dzisiejszych i z tego powodu zasługują na uwzględnienie. Przy sposobności nie omieszkamy z nich skorzystać.

P. E. Lewkowiczowi w Warszawie. Żadnych zażaleń niema.

Ciekawemu. Pseudonimu nie możemy zdradzić. Nie posiadamy prawie współpracowników poza obrębem naszego kraju.

Treść numeru: Przykład do naśladowania—P. K. Po nominacji Arcybiskupa—*Rusticanus*. Z nastrojów wsi białoruskiej—Dyskusje polsko-białorusko-ukraińskie w Warszawie.—E. Łopaciński. Zdziczenie.—*Licz.* Z mego notatnika.—E. L. W obronie poety białoruskiego.—A. Ciszewski. Kilka uwag o Sądach Pokoju—List do redakcji.—M. Gold. Przegląd prasy żydowskiej—Bibliografja.—Kronika.—O d c i n e k. Żalobna rocznica.